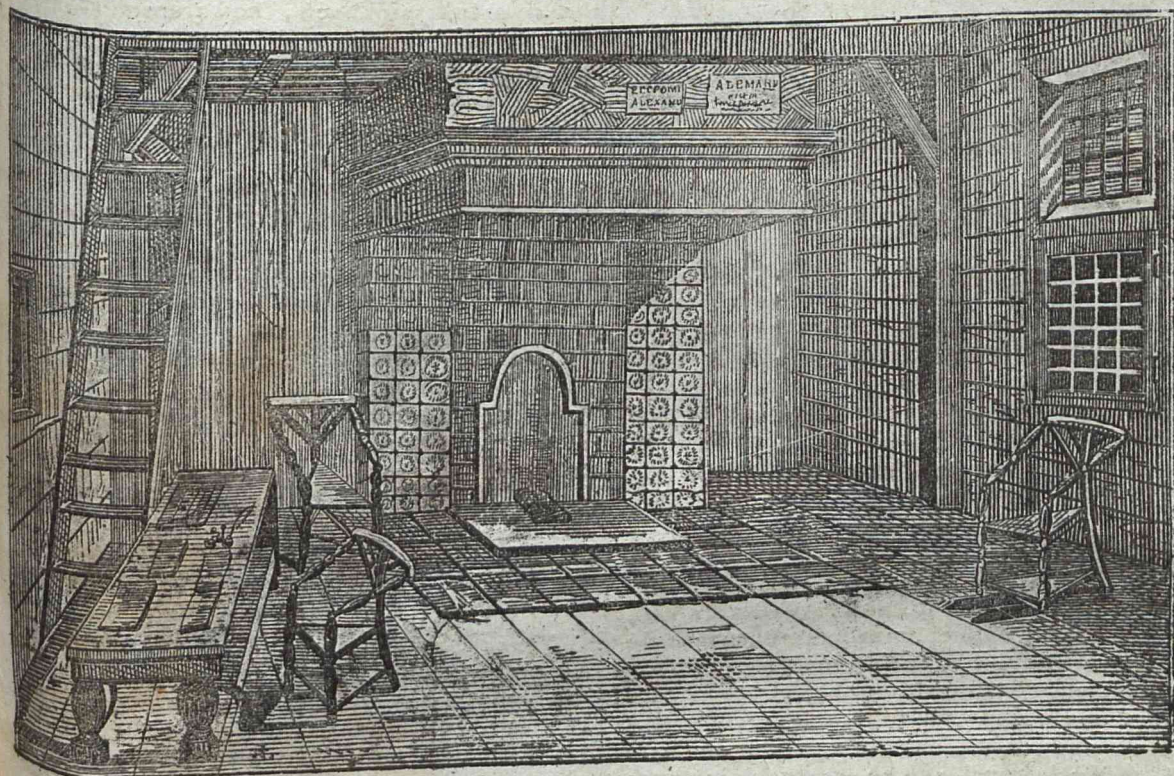


DOM PIOTRA WIELKIEGO W SARDAM.



Wiadomo każdemu z czytelników, że Piotr Wielki, twórca potęgi Rosyi, chcąc upowszechnić w kraju swoim, rzemiosła i sztuki, a mianowicie marynarkę, udał się był do Holandyi i przez czas niejaki w wiosce Sardam praktycznie obeznawał się z tém wszystkiém co należy do budowy i uzbrojenia okrętów. Rycinę domu w którym mieszkał, stawiamy przed oczyma czytelników.

Wioska Sardam jest miejscem pielgrzymki; zbiegają się tam z uszanowaniem i podziwem, odwiedzać domeczek drewniany, zbudowany 1632 r. który mimo ubiegu dwóch wieków dotąd jeszcze stoi, chociaż spruchniały i pełen szczelin. Domek ten był mieszkaniem Piotra Wielkiego, a każdy podróżny, jakiego bądź kolwiek stanu, nie opuści Amsterdamu, dopóki nie przebędzie wodnej płaszczyzny, przedzielający to miasto od Sardam. Sklepienia i regularny czworobok arkad ceglanych, wzniesiono za staraniem księcia Oranii, dla użyczenia zachrony, szanownej i sławnej chatce.

Chatka ta dzieli się na dwie izby, z których jedna była pracownią Cesarza; druga, ta właśnie, którą rycina nasza przedsta-

wia, była jego salonem, kuchnią, sypialnią i jadalną salą. Sprzęty jój składają się z prostego drewnianego stołu, drabiny, trzech stołków drewnianych z małą poręczą i trójkątném siedzeniem, ogromnego komina, lichej spiżarni i łóżka, jeżeli łóżkiem: azwać można deskę, wzniesioną na inną desce. Wszystko poczerniałe jest od starości, stoczone robakami, zbutwiałe przez długi lat przeciąg; lecz pamięć Piotra Wielkiego zmieniła tę chatę w świątynię, i czyni łatwym do zrozumienia napis holenderski, brzmiący w tych słowach: »Nic małego dla wielkiego człowieka.«

Załowac należy, iż napis ten nie sam jeden tylko czytać się daje w domku Piotra Wielkiego: inne nie tak są stósowne, inie mają téj prostoty. Miliony zwiedzających, nie przestały na tém iż zapełniały swemi nazwiskami i myślami, album, którego teraz siedemdziesiąt czwarty tom już się zaczyna, nie uszanowały nawet starych poświęconych lamperyi. Cesarz Alexander był w Sardam roku 1814 i raczył cesarską swą ręką wmurować po nad kominem, tablicę z białego marmuru, z tym napisem złotemi literami: *Petro Magno Alexander I. benedictus imperator, huanc lapidem*

ipse posuit. Król Wilhelm i książę Oranii, poświęcili także pamięci Piotra Wielkiego tablicę ze złotemi literami.

K A N O W A.

Historia artysty, składa się zwykle z dwóch kart, bardzo nierównej wagi: na pierwszej znajdują się tylko daty i miejsca jego urodzenia i śmierci; przedwczesne świadectwa jego jenuiszu i otrzymanych zaszczytów. Druga karta zapełniona jest samemiż dziełami artysty, świetniejsza daleko i bardziej godna zajęcia. Takie dwie karty obejmują życie największego ze snycerzy tego wieku, Kanowy. — Co do nas, zajmujemy się szczególnie pierwszą z tych kart, druga wymagałaby przynajmniej całego tomu.

Urodzony 1757 w Possagno, wiosce dycezyi Trewizeńskiej, w dawnym państwie Weneckim, Kanowa (Antoni), zaczął jak Michał-Anioł, jak Rafael. Wszystka trzyna nie mieli młodości, nie szukali natchnienia; natchnienie samo do nich pośpieszało. W latach, gdy pospoliccy artyści jeszcze zostają pod opieką, w piętnastym roku, Kanowa ukończył pierwszą rzeźbiarską sztukę. Musiał walczyć ze wszystkimi przeciwnościami, któremi nęcza tamuje rozwinięcie talentów; lecz wspaniałomyślni ludzie udzielili mu wsparcia przy wstępie do zawodu. Szlachetny Wenecyanin, nazwiskiem Faleri, dziedzic wioski w której się Kanowa urodził, był wiernym przyjacielem i opiekunem jego, drogę mu uutorował i nie szczędził zarazem pomocy i zachęty. Powodzenie polepszyło los jego, rozszerzyło sławę, a r. 1779; poseł Wenecki powołał go do Rzymu.

Kanowa miał wówczas dopiero lat 22. już go poznać dały posągi *Eurydyki* i *Orfeusza*. Grupa *Dedala i Ikara*, zjednała mu od senatu Weneckiego 300 dukatów rocznej pensyi. Znalazł w towarzystwie zbierającym się u pęsta, świątłych miłośników, których rady go wykształciły, a poklaski dodały zapału. Radząc się prócz tego pism Winekelmana i Rafaela Mengsa, z całej siły zaczął pracować nad reformą, której koniecznie wymagało powszechne gustu zepsucie. *Tezeusz siedzący na zwalczonym Minotaurze*, wskazał cel do którego dążyć: stowarzyszenie naśladownictwa natury z pomysłowemi pięknościami starożytnych. Od téj chwili, sława jego ciągle się zwiększała i po całej rozeszła się Europie: wkrótce przyznano mu najpierwsze miejsce pomiędzy współczesnemi rzeźbiarzami.

Roku 1793, Kanowa opuścił Włochy za-

klócone wojnami i podróżował po Niemczech. Za powrotem do Rzymu, Papież Pius VII: mianował go naczelnym inspektorem sztuk pięknych, kawalerem rzymskim i własną ręką ozdobił go oznaką téj godności. Roku 1802, Jego Świątobliwość upoważniła go do udania się do Francyi, gdzie go wzywał pierwszy Konsul. Najpochlebniej go przyjęto, Instytut wpisał go w liczbę swoich członków. Powierzone mu wykonanie kolossalnego popiersia Bonapartego; lecz praca ta nie tak mu się szczęśliwie powiodła jak inne: mianowano go jednakże członkiem Legii honorowej. Kanowa odbył powtórna podróż do Francyi, lecz w zupełnie odmiennych okolicznościach. Roku 1815, wybrał go Papież aby dozierał odbierania przedmiotów sztuki z Muzeum francuzkiego, które niegdyś Rzym zdobyły. Przybył w tym celu do Paryża, z tytułem posła papieskiego. W istocie, nie tego rzędu artyście, ani człowiekowi którego Francya obsypała tyłu zaszczytów, przystało podejmować się podobnego zlecenia.

Nie zadługo potem, Kanowa udał się do Londynu, gdzie książę Rejent podarował mu wspaniałą tabakierę, wysadzaną brylantami. Smutny powietrzokrag téj stolicy, kupiecka czynność jej mieszkańców, obyczaj sklepowe i karczemne, zostawiły w umyśle artysty, nie bardzo pochlebne mniemanie o Anglii.

Wkrótce wrócił do Włoch, gdzie mu Papież polecił ustawić na dawnych miejscach arcydzieła przywiezione z Paryża. Jak największe zaszczyty spotkały go z powodu téj okoliczności. Akademia S. Łukasza wyszła na przeciw niego, a Papież, aby mu oświadczyć całe swoje zadowolenie, w uroczystym posłuchaniu, które mu dał 5. Stycznia 1816, sam mu wręczył dyplom, poświęcający wpisanie jego imienia do księgi złotej Kapitolum. Zrobiono go narokiem Margrabią Ischia z pensją 3000. rzymskich talarów, którą całkiem poświęcił na zachęcanie sztuk pięknych i artystów.

Kanowa od dawna dostąpił szczytu sławy, gdy umarł w Wenecyi 13 Października 1822. Pogrzeb jego obchodzony był w całych Włoszech z jak największą okazałością. W Rzymie szczególnie, Akademia świętego Łukasza, której był wieczystym księciem, (szczególniejsza godność, dla niego jedynie utworzona, która po nim włączoną została), odznaczyła się wspaniałością, godną dawnych Rzymian. Nic podobnego nie widziano od śmierci Rafaela. Na te żale i zaszczyty zasłużył zarówno jako człowiek i jako artysta. Prostym, skromnym, uprzejmym, bezinteresownym, wol-

ny od niekzemnej zawiści właściwej ludziom jego stanu, Kanowa zawsze najszybciej używał swojego majątku. Okazywał najczulszą wdzięczność dla przyjaciół i opiekunów swjej młodości.

Chciał jeszcze, umierając uposażyć wszystkie Akademie Rzymskie i zostawić fundusze na zachęcanie artystów i zapewnienie im pomocy, na stare ich lata.

Pewien Angielski podróżnik, który widział Kanowę w jednym z Rzymskich salonów, zostawił opis jego osoby.

»Był to człowiek blisko 60-letni, średniego wzrostu i nadzwyczajnie prostej powierzchowności. Nic w nim nie przypomina rysów mieszkańców Włoch południowych. Wszystko w nim było delikatne, technące miękkością i wdziękiem. Krótkie i ciemne włosy, naturalne tworzyły pukle wokoło głowy wyrażającej niewinność i pogodę. Zadnego wymusu nie miał w ułożeniu i ubiorze. Było coś zajmującego i nęcącego w fizjonomii tego człowieka, na którego rysach wiek podeszły zdawał się rozlewać przedwczesny smutek, dzielając im zmarszczek i zachmurzenia starości. Była to twarz otwarta i pełna wyrazu, czoło szerokie i wystające, spojrzenie iskrzące zapałem, lecz spokojne, objawiające filozofią i miłość; słowem, wzniosłość i powabność, szczerłość i powaga, wskazująca wysoki stopień umysłowego usposobienia i przywyknień do wyższego towarzystwa, połączone z delikatnym uczuciem piękności, jasnością dowcipu, wytwornością gustu, łagodnością charakteru, umiarkowanym zapałem, których urok potężnie na wszystkich działał.»

Obraz ten odpowiada najdokładniej wyobrażeniu jakie sobie tworzymy o tegoczesnym snycerzu, który posiadał tajemnicę pomysłowych wdzięków, i użył bronzom i marmurom najdelikatniejszej niebiańskiej prawie piękności.

Utworki Kanowy są tak liczne, iż sam ich spis dalekoby już przeszedł zakres tego artykułu. Najbardziej odznaczające się, i najbardziej odpowiednie naturze jego jenuiszu, są: *Kupidyn i Pysze*, zachwycająca grupa, w której namiętność łączy się z najłagodniejszą tęsknotą i najmiłszą niewinnością, w której nie razi, nie ma zamieszanego ani gwałtownego, w którym najsurowsza, najściślejsza sztuka zdołała wydać najszczytniejsze marzenia i pomysły; *Wenera wychodząca z kąpeli*, uważana jako wyraz tkliwych i nie śmiałych uczuć; *Herkules i Lykas*, grupa w której nie znajduje się w prawdzie to, co zawsze w Kanowie do życzenia pozostaje, to jest moc koniecznie potrzebna, lecz której odmówić nie można

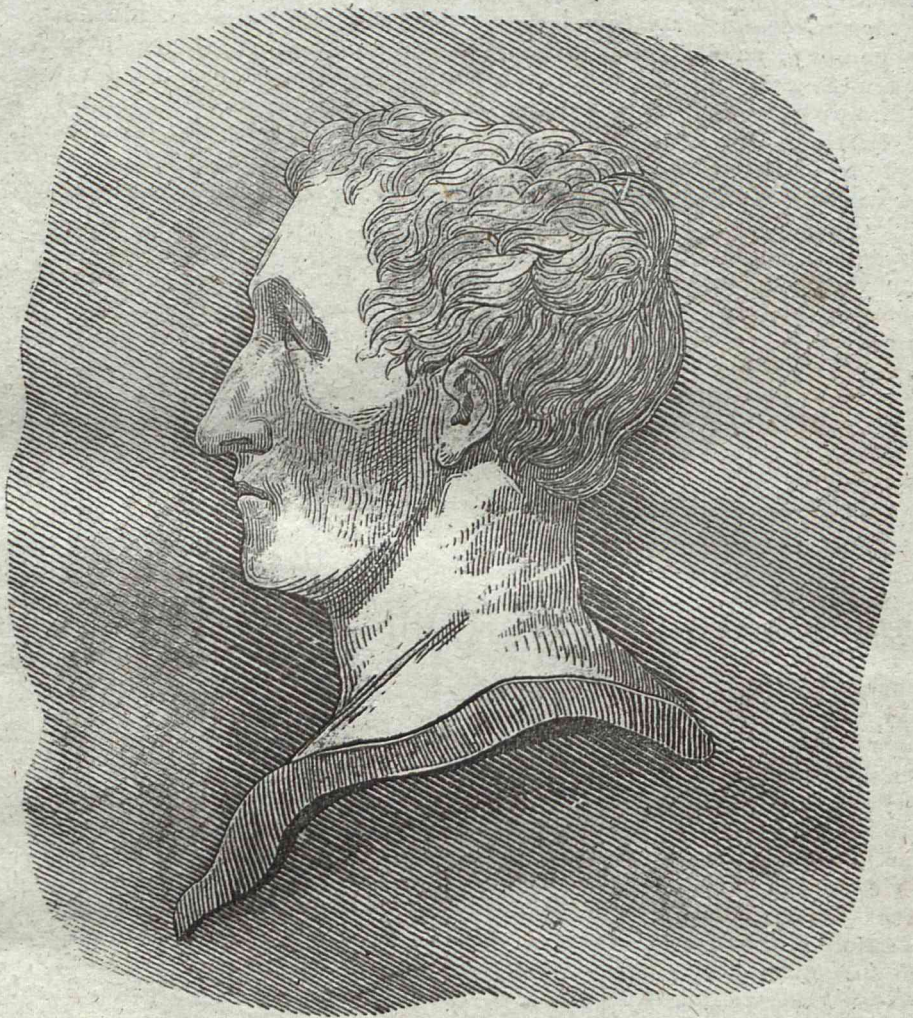
doskonałego rozkładu i wielkiej oryginalności; *Pyrrus*, którego ułożenie przedstawia szczęśliwy związek wdzięków i siły; miękkości Katulla z dobitnością Korreza; *Wenera i Adonis*, grupa okazująca jenuiszu Kanowy w całej jego potędze; *Gracje*, tak często wymieniane jako arcydzieło snycerstwa, chociaż nie dosyć zbliżające się do starożytniej prostoty; *Nimfa leżąca*, której niepodobna tego samego uczynić zarzutu, której kształty techną miękkością, wdziękiem i zaniedbaniem; nakoniec *pokutująca Magdalena*, ożywiona duchem i rozrzuwającą surowością Ewangelii, w której artysta wznosił się aż do najwyższego szczytu moralnej wielkości.

Kanowa zrobił prócz tego kilka *pomników grobowych*, nie równej wartości, z których nie jeden nie jest godnym swego twórcy. Mauzoleum jednakże Papieża Rezzonico, odznaczać się zawsze będzie z powodu swych lwów wspaniałych i w całym Rzymie ustąpi może chyba grobowcowi Juliusza II. w kościele Sgo Piotra w okolicy, i pomnikowi xiężnej Santa-Croce, poetycznemu, rozrzuwającemu utworowi, którego wszystkie szczegóły są jak najdoskonalsze.

Co do jego popiersi branych z natury, zbywa im w ogólności na mocy; pod jego dółtem, wszyscy mężczyźni zmieniają się w Sybarytów, wszystkie kobiety w Heleny. Nie udały mu się ani płaskorzeźby, ani obrazy; a jednakże przez słabość często się znachodząca, chwalał nade wszystko wartość swoich obrazów, gdy tymczasem za ledwie wspomnieć raczył o najpiękniejszych swoich posągach. Do liczby tych ostatnich dodać jeszcze musimy posągi matki Napoleona, Maryi Ludwiki, xiężnej Esterhazy, Washingtona, a nade wszystko xiężnej Borghese, znany pod nazwą *Wenery zwycięzchdy*.

Słowem, natura jenuiszu Kanowy, zbyt mało męzka, zbyt mało energiczna, obca wzruszeniem zgrozy, pozbawiona była niektórych dzielnych przymiotów, naznaczających artyście pierwsze miejsce wśród jednoczesnych swoich współzawodników. Można do niego zastosować te wyrazy Kwintyliana o Polyklecie: «Wdzięki i wykończenie są jego zastugą, a chociaż głos publiczny przyznał mu palmę, znajdują się jednak krytycy co go obwinia, że mu zbywa na mocy.» W istocie, jeżeli człowieka pięknością przyodził, zagasił może ów wyraz uroczystej majestatyczności, którą bóstwo się otaeza. Obdarzony powabnym i kobiecym talentem, nie posiada bynajmniej konwulsyjnych namiętności, konania rozpaczy, widziadeł przestachu, śmiałości pomysłów; lecz za to czarodziejska i chszter-

K A N O W A.



na jego dziedzina, zamyka w sobie tkliwe
namiętności, żądze, najdelikatniejsze odcie-
nia, marzenia nadziemskiej piękności,
kształty pełne wdzięku, uroku i młodości,
pomysłowe i czyste utwory.

ELEGIA.

DO ELŻBIETY.

przez St. Hr. Starzyńskiego.

Ty, która swym uśmiechem niebo mi otwierasz.
A wzrokiem obojętnym wtrącasz mię w otchłanie

Sroga! co przed mych oczu złudzeń tęczę
zdzierasz,

I wierne, urąganiem nagradzasz kochanie:

Sercu droga, oczom miła

Ty Elżbieto, coś w mój duszy,

Najczystsza miłość wznieciła,

Dziś, przyczyno mój katuszy...

Ciesz się, ciesz się, nie użyta!

Zgubnym płomieniem zajęty,

Gię, jak polny kwiat, ścięty

W porze, gdy wdzięcznie zakwita.

Postrzegam, do mnie podobnych tysiące,

Ludźmi nazwane stworzenia.

Do gromady żyjących ze mną należące:
Wszyscy wnoszą ku słońcu dziękczynne
spojrzenia.

Istoty, którym pełna płyną życia zdroje,
O! jak różne od waszych są wyroki moje!
Wycie szczęśliwi... i jam liczył chwile,
W których mniemałem dojsć roskoszy
szczytu,

Przebóg! te szczęścia błyski, trwały dla mnie
tyle,

Co przelot gwiazdy, gdy z niebios błękitu,
Spadać się zdaje na ziemskie posady...

Zapuć wzrok żądny za tą gwiazdą ślady,

Nim przed twém okiem uciecze,

I wyznaj, tęskny człowiecze,

Czy się nią napięściła twa zrenica chciwa?..

Lecząc, oczów widziało ją krocie,

Lecz, choć jednemu życzliwa,

Uśmiechnęła się w przelocie?

O! dajcie mi, choć jedną namiętność powolną,

Pasmo dni cichych, całe zająć zdolną.

Niech, jak drugi, przestanę na błahém użyciu

Fraszek, które niesmakiem są w burzliwém
życiu,

Niech z moich piersi, z tych spiekłych cze-
luści,

Ochłonie mi skwarne tchnienie;

Niech mię pożerająca gorączka opuści;

Niech nasycę to wrzące miłości pragnienie,

Co trawi życia mojego pochodnię;

Niech raz odetchnę swobodnie;

Niechay, zamiast fosforu wlanego mym żyłom,

Chłodna krew, chłód po członkach targanych
rozsyła;

Niech wreszcie żyję, jak bryła,

Zazdroszcząc już nie raz bryłom.

Zamilknę w tedy; niczym się nie wzruszę,

Zimny jak wyrok, lub jak pan wyroku,

Który, mimo wszech istot jęki i katusze,

Srogięgo nie zmieni wzroku.

Istny obraz téj okrutnej,

Sprawczyni méj doli smutnej.

Przeciw której na przekór rozum z sercem
walczy,

Któręj dotąd hołd z płaczem niosę batwo-
chwalczy.

LISTY X. ALBERTRANDEGO.

(Dalszy ciąg)

Stałem w Berlinie czternastego tego
miesiąca. Ze wszystkich Polaków tu bę-
dących najśladniejszy był do znalezienia
JMP. Zabłocki, którego w domu nie zasta-
łem, ale tegoż wieczora, był umnie i daw-
szy mi przyzwoite informacje, nazajutrz
posłał mnie swoim ekwipażem oddać wi-
zyty rozmaitym osobom, których znajomość
zdatna mi być mogła. Między obcemi był
poseł szwedzki P. Carisien, do którego mia-
łem list od posła szwedzkiego w Warsza-
wie i P'Abbé Denina, od którego list mi
dany był od Margrabi Luchesiniego. Dnia
16 Currentis JMPan Zabłocki dał kwoli
mnie wielki obiad, na który zaproszeni by-
li różni tatejsi Sawantowie, między któ-
rémi i P'Abbé Denina znajdował się. Cho-
ciaż na fundamentach gruntownych JMPa-
nu dobrze wiadomych, powziętem był
w Warszawie jeszcze, wysokie bardzo zda-
nie o JMPanu Zabłockim, jednak przy-
znać muszę, iż poznanie jego nie tylko
wniem utwierdziło, ale bardzo je pomno-
żyło. Człowiek to jest wielkiego rozsąd-
ku i wielkiego doświadczenia i bardzo
w swoich czynnościach obrotny. Zna on
i doskonale przenika kraj, któremu służy
i kraj, dwór, ludzi, ministrów, obroty
dworu, przy którym mieszka. Ma on tu
szacunek i poważanie tak wielkie, jakie
tylko mieć może człowiek godzien najwię-
kszego od swoich zaufania, od obcych sza-
cunku.

Dnia wczorajszego, 17 Currentis, byłem
z wizytą u Graffa Herzberga ministra, pre-
zentowany od JMPana Zabłockiego. Przy-
jął mię ten minister z takim ukontento-
waniem i otwartością i familiarnością, jak-
byśmy się od 30 lat znali. Był humoru
na podziw dobrego i wesołego. Po zwy-
kłych komplementach, wpadł wnet wdy-
kurs o zaborze pism i archiwów przez
Szwedów, z tamąd o wojnach Brandebur-
czyków z Szwedami, zwłaszcza dawniej-
szych, kiedy z okazji wspomnienia bitwy
pod Ferbellinem i odparcia Szwedów z Pruss
w wieku przeszłym, wspomniałem mu me-
dal, na którym z Seneki Tragika jest napis
z jednej strony: *Quem dies vidit veniens su-
perbum*; z drugiej *Hunc dies vidit fugiens ja-*

centem. Bardzo to go ucieszyło i zdawał się o tym medalu nie wiedzieć. Wpadł potem w rozmowę o Zygmuncie III. o manuskryptach które ma z tamtego wieku, które aby mnie pokazano zalecić obiecał, równie jak królewską księgarnię.

Prosił mię, nadziś, IS Currentis, na obiad, który ma być prywatny z kilku erudyków złożony, to jest z pierwszego doktora królewskiego pana Moehsen, z patrona jednego, który archiwista u Grafa tego urząd sprawuje, z księdza Denina i z JMP. Zabłockiego, któremu największe oświadczył attencye. Przed obiadem pokazał mi kilka ksiąg dla edycyi swojej ciekawych. U stołu było nas 12, to jest wspomnieni wyżej, Xiążę Gonzaga, Graf Rodt, mający jechać na poselstwo do Petersburga, Conte Guiccioli Audytor Nuncyatury kołońskiej tu przytomny dla utrzymania Nuncyatur papieżkich i jeden erudit duchowny protestant. Cały stół wiele gadano, była tam mowa z okazji Gonzagi i o królowej Ludwice Maryi i o królowej Bonie. Bardzo często Herzberg do mnie mówić obracał. Po obiedzie powiedział mi sam, iż jest polakiem z domu Arcemberskich i że rozumie po polsku. Czytał nam też różne kawały do ligi książąt Imperyi należące, ręką zmarłego króla pisane.

II.

Przyjazd do Berlina od Frankfurtu, nie ma osobliwszego, nie widać nic coby stołeczne miasto opowiadało. (1) Położenie od oczu odsunięte, przyjazd dziki, ponury, nie podobnego do okolic Warszawy nie mający, piaski wieczyste, pola dla tej samej przyczyny mniej zyczne, wsie ubogie, jeden tylko lub drugi dom królewski w pobliżu z zwierzyńcem pozoru bardzo pospolitego, przedmieścia szczupłe i nie znaczące. Ale wjechawszy do miasta, podróżny zadziwiony jest widokiem miasta dla kształtu nowości, prawie z pudełka wyjętego. Ulice przestronne, pod sznur prowadzone, długości niezmiernej. Domy nowe kształtne, bez wysokości ogromnej, bez jednostajności ponurej. Tu i owdzie fabryki wspaniałością swoją inne celujące, w których pierwsze spojrzenie zadziwia, lubo z czasem niedoskonałości i błędy budowy jeszcze bardziej zadziwiają. Pomnażają wesołość miejsca, przeplatania gęste drzew po placach i ulicach, miłe i wygodne prze-

chadzki obywatelom, aż nadto do tego rodzaju rozrywki skłonnym, ofiarujące. Ale po kilku-dziennym zabawieniu się, ustaje to omamienie. Bruki po ulicach są zaniedbane, równina nie wiele spadku dająca, pomnaża błoto, i sprawuje częste kanałów ściek sprawujących zatkanie, ztąd albo powodzie po ulicach, albo smród wynika, gdy kanały otworzyć usiłują. Domy nowe nie wiele mają gruntowności, a to zmarłego króla sprawowała niecierpliwość, który obaliwszy w Kwietniu stare jakie grady, chciał w następującym Wrześniu widzieć na tym miejscu wystawioną i zupełnie zakończoną kamienicę. Obcy i mieszkańcy przydają, iż tych kamienic wewnętrzne ułożenie bardzo jest nie dokładne, i że w większej ich liczbie niedostatek pewnej wygody sprawuje, iż się Madryckich zwyczajów trzymać z wielkim ochędostwem uszczerbkiem potrzeba. Wpatrzywszy się dobrze, trzecia część starego miasta, już to w rozproszonych domach, już to w ciągłych częściach pozostaje, i okazuje co był niegdyś Berlin, to jest zbiorem krzywych i ciasnych ulic z domami nikczemnie mi pruskim sposobem zbudowanymi, o jedynym najczęściej oprócz dołu piętrze. Mniejsza jest, iż obfitość wody, nie zawsze do napoju, ale do innych potrzeb zdatna, jest największa. Każda ulica ma pompę a większe tę wygodę ledwie nie co sto kłó w ków znajdują. Zadziwiło mię bardzo, iż tak mało żołnierzy po ulicach widać, lubo sam miejscowy garnizon do 20 tysięcy ludzi wynosi. Karność jednoczyć w potrzebie, a trzymać w innych czasach w kwartalach te orszaki umie; mniejsza ich część ma koszary wyznaczone, reszta u obywateli mieszka, ale tak spokojnie, że z szczęściem mają mieć u siebie żołnierza, który wszystkie domowe usługi odprawuje. Jedno skinienie wszystkich zgromadza, kaźdy w takowym przypadku wie gdzie się znajdować powinien. W Sobotę przed moim przyjazdem do Berlina wyjazdem, była straszliwa burza, która ludzi brnąć po kolana powodziła, co się i mojemu służącemu przytrafiło. Piorun trzy razy tu uderzył, raz w koszary pewne, drugi raz w dom na ulicy Wilhelm strasse nazwanej, trzeci raz w kościół Stój Trójcy. Dwa pierwsze razy nie były szkodliwe, trzeci piorun zapalił wieżę na kościele. Za daniem hasła 20 tysięcy garnizonu z oficerami podług przepisu stanęło, i mimo najgwałtowniejszych szesz tak stało przez półtorę godzinę. Pożar prędko był ugaszony, częścią przez żołnierzy pośpiech, częścią przez zręczność kompanii na to umyślnie ustanowionej, która przyzwoite do takiej przy-

(1) Czytelnicy Muzeum mieli opis teraźniejszego stanu Berlina w Nr 16 tym r. z. z. Porównyując go z opisem Albertrandego, oceniam, jaką zmianę zrzadziły długie lata pokoju i ciągła troskliwość rządu.

gody odzienie z szyszakami na głowie ma. Najwięcej pomógł jeden człek jeden, który po ciemku na wieżę wszedłszy gzyms zapalony wyrąbał.

Dnia 20 praesentis byłem z rana w zamku lub pałacu królewskim dla oglądania skarbcu, to jest rzeczy drogich i kosztownych zbioru. Skarbiec ten, w kilku pokojach złożony jest pod dachem, i do niego iść trzeba miejscami najbezpieczniejszemi, wszystko tam bez żadnego zostaje porządku i w najzupełniejszym opuszczeniu. Są tam niektórych zwierząt wypchane skóry, jako to osłów zamorskich pręgowatych, jeleni, dzików, renny i rosomaka, którego tam wilkiem czarnym nazwać podobało się, lubo nie wilczego nie ma. 2. Mnóstwo niestychane rógów rozmaitych zwierząt, które niby cały regiment uzbroić można. 3. Wiele szafek i gabinecików kosztownych staroświeckich, między którymi najznaczniejszy jest gabinecik jednego z ostatnich książąt Pomorskich zrobiony w roku 1606, w którym sprzętów do życia ludzkiego podatnych niezmiernie jest mnóstwo, między którymi są gry całe kart francuzkich, włoskich i niemieckich z blachy srebrnej. 4. Wiele figur z wosku zrobionych wielkości naturalnej, osób domu królewskiego, między którymi pradziad królewski pierwszy król Pruski w odzieniu swoim. 5. Wiele bardzo robot z kości słoniowej i bursztynu. 6. W pudełku osobnym pokazują gwóźdź na pół w złoto przemieniony, lubo dosyć jawnie spojenie złota z żelazem widzieć się daje. 7. Cokolwiek kruszców ale bezporządku.

Z skarbcu udałem się do biblioteki. Powiadają tu że Bibiena był jej architektem. Wierzyć temu nie mogę, bo Bibiena nie był ani gustu ani rozumu pozbawiony. Większe jest podobieństwo, iż zmarły król bardzo w tych rzeczach określonego gustu, wzór tej biblioteki wziął z Teutońskiego jakiegos na Szląsku pałacu.

Ksiąg jest dostatek wielki i w tej mierze zdaje się biblioteka i co do starych i co do nowych, byź bardzo bogata. Manuskrypta także są dosyć ciekawe i liczne. Pytałem się o manuskrypta kraju naszego tycające się. P. Stosch krewny barona Stosch królowi JMCi dobrze znajomego, obiecał mi wyciągnąć z katalogu swego ekstrakt onych, ale że tak długo w Berlinie bawić się nie mogę, wykonanie tego JMCi P. Zabłockiemu zostawię.

Tegoż dnia około godziny piątej po południu, byłem na sesji de l'Academie des sciences et des belles lettres, zaproszony na nią od samegoż Graffa Hertzberga. Miejsce posiedzenia jest w pałacu osobnym

nad stajniami, co powodem jest zazdrośnym do mówienia, iż konie są na dole a osły na górze; żart niesprawiedliwy, gdyż akademia składa się z ludzi gruntownie uczonych.

PRZEDAWANIE I KUPNO ŻYCIA

Sen Franklina.

Sniło mi się niedawno, iż rodzaj ludzki odebrał nowe prawo, nadające moc wszystkim, którymby się życie sprzykrzyło, ustępować je tym, którzyby je sobie przedłużyć życzyli. Najwyższy trybunał był postanowiony dla sądzenia o ważności przyczyn każdego żądającego, przyspieszenia lub spóźnienia kresu dni swoich. Znajdowałem się na jednym z tych posiedzeń. Tym cisnących się prośbami był niezmierny, lecz nie potrafiłbym powiedzieć, z której strony liczba była znaczniejsza, czy za przedłużeniem czy za skróceniem życia.

Postrzegłem najprzód negocyanta proszącego o uwolnienie siebie od ciężaru życia. Był w przystojnym odzieniu, czerstwy, rumiany, otyły, lecz smutny i ponury. Powiedział sędziom, iż wstąpił na drogę życia z nadziejami nader smutnemi; że gdy się wystugiwał w kantorze, nic więcej sobie nie życzył nad zapłatę, z którejby się wyżywić potrafił. Lecz pozyskawszy zaufanie swojego pana, został od niego przyjętym do spółki, i wkrótkim czasie zebrał wielki majątek. Zakupił najpiękniejsze domy w mieście, i rozkoszne wiejskie mieszkania, Nikt nie miał wspanialszych powozów, lepij przybranych służących, i liczniejszych przyjaciół u dworu. Przechwycił w ślubny małżeńskie pomnożył swoje dochody. Po urodzeniu pierwszego syna, zapragnął zostawić mu oddzielny majątek. Skutek uwięźczył jego nadzieie, a ciągłe powodzenia zdawały się zapewniać świetny los całemu jego późniejszemu potomstwu. Widział się już szlachetnym patryarchą, którego szanowny obraz ozdabiać będzie salony zamków każdej pochodzącej z niego familii. Takowem wyobrażeniem zajęty, podwoił swoje usiłowania ku pomnożeniu bogactw. Siwe włosy ostrzegały go, iż trzeba się śpieszyć. Edward i Jakób synowie jego posiadali już swój majątek, trzeba jeszcze było zapewnić los Henryka i Wilhelma. Przyzwyczajony zyskiwać na swoich przedsięwzięciach, zaufał szczęściu, porobił znaczne układy, nabył wiele papierów publicznych, nakupił niezmierną liczbę towarów, wszedł w spółki z wielu fabrykantami. Lecz gdy nagle zmienił się stan interesów Europy, nie mógł znaleźć kupców na swoje towary, magazyny stały nie naruszone. Na terminach oznaczonych, nie wi-

dział się w stanie wyplacenia, papiery znacznie spadły; trzeba się jednak było ucieść, a tym sposobem zniknęły góry złote, usypane w jego imaginacyi.

Po tylu jednak stratach zostało mu się jeszcze kilka tysięcy funtów szterlingów; zdawałoby się, iż to jest dosyć dla człowieka, który zaczął od funkcyi pisarka w kantorze, lecz on nie mógł znieść tej myśli, iż jego nadzieie zostawienia po sobie kilku słachetnych familii, zawiedzione będą. Życie nie miało już dla niego żadnej pojęty, stół, ogrody, ekwipaże, nie były mu miłe. Dzieci piękne, przywiązane, skromne, nie były dla niego pociechą, owszem, im więcej miały zalet, tém bardziej ubolewał, że im nie mógł zostawić pałaców i ogromnej fortuny. Pragnął jak najprędzj śmierci i zapytywał się, koby chciał od niego nabyć dziesięć lat życia.

»Proszę o nie, odczuwał się głos drżący, który wychodził z tłumy; ośiaruję za nie połowę mego majątku, a do tego beczkę przedniej madery. Zona moja ina dopiero lat szesnaście, a ja skończyłem siedemdziesiąt dziewięć: chciałbym więc mieć czas na wychowanie moich dzieci. Nagły śmiech powstał w zgromadzeniu całym. Toczy się przed trybunał małeńkie stworzenie, które niegdyś było człowiekiem. Wspiera go młodzianka żona, przychyłając się niby do jego żądania, lecz nie rzekła i słowa.

Zbliża się potem młodzieniec z tak smutną twarzą, iż mogłaby służyć za kopersztych do sentymentalnego romansu. Przynęcał on niedawno swoją wiarę kobiecie anielskiej urody; wydarła mu ją śmierć zbyt skwapliwa, nie mógł dłużej znieść życia i przyszedł prosić o wolność wyzwolenia się z niego. Sędziowie pokazali się czułymi na jego nieszczęście, a prezydent trybunału rzekł: Idź do przyległego tej sali lasku, tam namyślaj się jeszcze, a potem powróć.

Po krótkiej chwili wchodzi zapłakana paniienka, z roztarganemi włosami, i prosi tonem jęczącym, ażeby jej wolno było unrzeć. Była tak piękna, jak Wenus, gdy opiekowała śmierć Adonisa. Po utracie swego kochanka, życie było jej nieznośnym; szukała więc, komu by je oddać mogła. Sąd zdawał się być dotknięty jej żalem. Wejść do małego lasku rzekł jej prezydent, obejdź go kilka razy, a potem tu powróć.

Widziałem potem długi szereg przybyłych z podobnemi prośbami; widziałem wyniszczonych niewieściuchów żądających śmierci, i bogatym dożywociem obdarzone wdowy, które jak najdłuższego życia pragnęły. Już nie mały przeciąg czasu upłynął, a jeszcze rozpaczający młodzieniec i wzywająca śmier-

ci panna nie powrócili z lasku. Rozumiano, iż się już potopili, nie czekając pozwolenia sądu. Posłano do lasku, postrzeżono ich nad brzegiem cichego strumyka, pod cieniem mirtu razem siedzących. Napotkali się przypadkowo. Paniencie zdawało się, że widziała w młodzieńcu kochanka którego opiekowała; przelękniona tak nadzwyczajnym zjawieniem, padła i zemdłała. Młodzieniec przyskoczył na jej ratunek, i on także znalazł w niej podobieństwo do tej, po której żyć nie chciał. Przybyli oboje upraszać sędziów, ażeby im pozwolili odmienić pierwsze postanowienie i połączyć losy swoje węzłem nierozzerwanym. Sąd zezwolił.

Stanął potem przed sądem jeden młody trzpiot, tak piękny, tak wysmukły, tak w swoim ruszeniu i ubiorze wytworny, iż patrząc na niego, byłbym się założył, że przyszedł prosić o przedłużenie życia. Wbiegł do sali podskakując i nucąc nowe rondo; trzymał w ręku małe zwierciadko, w którym się czasami przeglądał poprawując wysoki czubek, głowy swojej najcelniejszą ozdobę. Na palcu miał kosztowny dyament, który jak gdyby z niechcenia na różne strony obracając błyskał. Zminą pełną wyniosłości rzucił swoją prośbę na piśmie, i rzekł, iż gdyby nie przez szacunek dla mody, nie byłby nigdy zatrudniał swoją osobą brodawców sądowych, i że jeden wystrzał z pistoletu byłby mu tę samą taskę wyświadczym.

Ciekawy byłem, co mogło być powodem temu młodzieńcowi do tak ostatecznego kroku. Dowiedziałem się, iż był synem jednego bogacza niedawno zmarłego; iż będąc oddany na naukę prawa, wyprosił u swoich opiekunów wolność rozporządzania swoim majątkiem, i zaczął marnotrawne życie. Porzabierał liczne znajomości, dawał wyborne wieczery, i codziennie się upijał. Nabrał upodobania do klejnotów, których mu dostatkiem dostarczano; nakoniec tak skutecznie pracował ażeby się pozbył swojego złota, iż wkrótce ujrzał próżną szkatułę. Natenczas objechał wszystkich swoich przyjaciół dla pożegnania się z niemi, i zamknął się w gabinecie, dla odebrania sobie życia wystrzałem z pistoletu. Lecz przypomniał mi się, iż najnowszą modą było stanąć przed trybunałem, gdzie zarazem zobaczy świetne towarzystwo, udał się tam ze swoim żądaniem.

Sąd czynił trudności, czubaty elegant się gniewał. Zapisano go więc w rejestrze nieboszczyków.

Przybyli potem autorowie dramatyczni, żalili się na zepsucie gustu z przyczyny odzucenia dzieł swoich; zaczęli je czytać; sędziowie posnęli, a jam się obudził.